ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 12-go Sierpnia 1897. Nr. 32.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na G. Śląsku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

WALERYA.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

ks. Antoniego de Waala.

(Ciąg dalszy.)

Tymczasem słońce zaszło, a czas rozmowy z krewnymi już był minął. Dozorcy przyszli, aby wszystkich wydalić. Walerya i Rustyka, które ze łzami słuchały słów Ireny, uklęknęły przed nią, aby im udzieliła błogosławieństwa; Irena zrobiła każdej wśród cichej modlitwy palcem znak krzyża św. na czole dając im przytem pocałunek pokoju.

— Szlachetna niewiasto — rzekła Rustyka wystawiając niemowlę ku niej — błogosław także memu dziecku i pamiętaj o niem w niebie, aby było zawsze pobożne i cnotliwe. Jesteśmy biednymi i nie mamy mu wiele do zostawienia: ale jeśli mu powiem, że męczenniczka udzieliła mu przed śmiercią macierzyńskiego błogosławieństwa, to zostawię mu w tem słowie więcej, niż wszystkie bogactwa tego świata razem wzięte.

Irena położyła rękę na główce dziecięcia i zrobiła mu także na czole palcem znak krzyża św. Potem dozorcy bez serca rozłączyli niewiasty.

— Do błogiego zobaczenia się! — zawołali więźniowie.

— Pamiętajcie o nas w modlitwach waszych — odrzekli wierni wyznawcy, opuszczając wraz z dyakonem Sylwestrem więzienie.

Tymczasem gdy wierni chrześcianie w cyrku na ulicy apijskiej spożywali swoję ucztę miłości i przyjęli do siebie przed śmiercią zadatek życia wiecznego, Maksencyusz w przeddzień uroczystości zgromadził w przepysznej sali cesarskiego pałacu szlachtę Rzymu i wszystkich wyższych oficerów na hulatykę nocną.

Miała to także być jego wieczerza wolnych (coena libera), a zarazem uczta przedśmiertna. Na złotych świecznikach płonęły wielkie światła oświecające komnaty jakby we dnie i ożywiające niejako statuy marmurowe; szemrzące wodotryski wyrzucały wodę odbijającą się tęczowemi barwami w blasku świateł; najświetniejsze rośliny wydawały ze siebie odurzający rozkoszny zapach, na kolumnach zaś i ścianach marmurowych wisiały godła zwycięztwa w bitwie. Wielka ilość gości rozłożyła się na kilku stołach znajdujących się na podniesieniach. Przy głównym stole zajęła miejsce tuż obok Maksencyusza młoda żona pewnego senatora, gdy tymczasem cesarzowa na rozkaz Maksencyusza musiała wymówić się od uczestnictwa niby to z powodu słabości. Naprzeciwko cesarza zasiadł naczelny wódz wojsk cesarskich Rufus i nowomianowany prefekt miasta Annius Anulinus, dalej znowu dawni konsulowie i najznakomitsi senatorowie porozkładali się po innych siedzeniach cesarskiego stołu. Rufus niechętnie przybył na ucztę, gdyż bliskość nieprzyjaciela wymagała koniecznie jego

osobistej obecności w obozie; toteż Maksencyusz był zniewolony pozwolić mu oddalić się wraz z oficerami zaraz po północy do obozu.

Tymczasem niewolnicy i niewolnice roznosili skrzętnie wielkie misy wraz z kunsztownie nałożonemi na nich potrawami; inni znowu nalewali kosztowne wina z gąsiorków i dzbanów do złocistych czar, a z tych do jeszcze kosztowniejszych puharów przepysznej roboty. Podkasane tancerki wykonywały wśród odgłosu piszczałek i podobnych instrumentów lubieżne tańce ku rozweseleniu gości.

Już głowy były winem rozognione, puhar za puharem wychylano za zwycięstwo wojsk cesarskich; hulatyka stawała się coraz głośniejszą i rozwiąźlejszą. Nawet Rufus opojony ciężkiem winem zapomniał widocznie o nadchodzącej walnej bitwie.

Niepostrzeżona przez straże, którym przy tej hucznej uczcie też coś się dostało podeszła jakaś staruszka o kijach aż do schodów prowadzących na podniesienie, na którem znajdował się stół cesarski. Zmęczona upadła na pierwszym schodzie, i gdy tam u góry dzikie okrzyki pijanego towarzystwa mięszały się z dźwiękami fletów i cymbałów, staruszka wyjęła z koszyka skrwawione zwłoki dziecięcia, przyciskając je do serca wśród wzdychań i jęków najgłębszej boleści.

— Twoja matka nie żyje, mój aniołku — szeptała staruszka — a ojciec twój skoczył do Tybru; ale twoja babka będzie czuwała nad tobą, aby ci cesarz nic złego nie wyrządził. Śpij spokojnie moje serduszko! Oni mówili, że będą ci wróżyli, dla tego matka wydała cię im. A oni... a oni cię... Ach, jakeś ty zimna dziecino! Och, toż to cecarz cię zarżnął, i oni tam teraz u góry jedzą twoje serce i piją twoję krew.

Potem nieszczęśliwa staruszka powstała wśród jęków i skarg, a zebrawszy wszystkie siły i trzymając się poręczy poszła po schodach do góry, aż nagle z ciemności weszła do jaskrawo oświetlonej sali i stanęła przed cesarzem jak widmo wychodzące z pod ziemi.

Niewolnicy wprawdzie rzucili się zaraz na nią i zepchnęli ze schodów, ale Maksencyusz ją widział z zakrwawionemi zwłokami dziecka na ręku, z obłąkanym wzrokiem, głęboko zapadniętych oczu a na ten widok wypadł mu puhar, a twarz stała się sino-bladą. Gdyż nie mogła to być istota ziemska, ale złowrogi duch podziemny, który mu przyszedł czynić wyrzuty za tę bezecną i nieludzką zbrodnię, której się na dziecku dopuścił, a zarazem przyszedł mu oznajmić bliską zemstę.

Napróżno starał się cesarz przygłuszyć straszny niepokój. Chwycił znowu za puhar, lecz drżąca ręka nie była w stanie doprowadzić puhara do ust. Muzyka i zgiełk gości brzmiały mu naraz w uszach jak ryk i śmiech złych duchów. Siedział ponuro z szeroko wytrzeszczonemi oczyma. Najbliżsi goście spoglądali nań niespokojnie; nagła przerwa w zabawie była tem przykrzejszą, że w górnych komnatach i galeryach trwała uciecha dalej, gdyż tam nie widziano nic z tego co zaszło u dołu, przy stole cesarskim.

Nagle skoczył Maksencyusz z miejsca, porwał za puhar szklanny, a rzuciwszy nim o marmurową i mozaikową posadzkę tak, że potłukł się w tysiące kawałków, ryknął:

— Cicho mi tu! Precz z tym wrzaskiem i zgiełkiem! Gdzież są moi pretoryanie, niechaj mi wytną do nogi tę hołotę tam na górze!

W mgnieniu oka rozbiegli się przerażeni goście od stołu cesarskiego. W jednej chwili wesoła wrzawa ustała, a w kilka chwil panowała w pałacu cesarskim po tej głośnej uciesze złowroga cisza.

Maksencyusz upadł na posłanie, a Rufus, który sam jeden ośmielił się zostać przy strasznym władcy, patrzał nań poważnie. Ponieważ siedział plecami odwrócony do schodów, więc nie pojmował nagłej zmiany w usposobieniu cesarza.

Okropna ta i złowroga cisza panująca do koła wystraszyła Maksencyusza,

więc rozkazał Rufusowi, aby go odprowadził do sypialni. Zmiana powietrza wpłynęła uspokojająco na umysł cesarza, ale wraz z spokojem wracał do duszy upór.

— Przecież ofiaruję tysiące wojowników — rzekł — aby bronić mego tronu; cóż więc chodzi mi o taką małą ropuchę, bylem miał pewność że zwyciężę? Jeśli bogi kierujące przeznaczeniem żądne są krwi dziecięcej, to na Jowisza! rozkażę porąbać na kawałki u piersi matki wszystko, co ssie mleko, czy to jest zwierzę czy człowiek tak w Rzymie jako w całem Państwie!

Rufus patrzał na cesarza wielkiemi oczyma. Słowa, któremi cesarz miotał, były dla niego zagadką, podobnie jak nagła zmiana najwyuzdańszej uciechy w złowrogą srogość; jednak nie trudno było domyśleć się wątku a Rufus wzdrygnął się na wyobrażenie strasznej zbrodni, którą zdradzały słowa cesarskie.

— I takiemu to potworowi służysz — rzekł do siebie — dla jego panowania ty ofiarujesz twoje zdolności wojownicze, dla niego poświęcasz życie tylu dzielnych mężów, a nawet może twoje własne!

Rufus znajdował się z Maksencyuszem sam na sam, i gdy takie myśli przesuwały się po głowie jego, już też prawica mimowoli skierowała się w stronę rękojeści miecza.

Wyciągnięty na posłaniu Maksencyusz był bezbronnym i zdanym na jego łaskę i niełaskę, tylko jedno pchnięcie, a już nie byłoby Maksencyusza; Rufus zaś potrzebowałby tylko rękę ściągnąć, aby sobie na głowę włożyć koronę cesarską. Wiedział dobrze, z jakim zapałem i radością go legiony by obwołały swoim władcą i cesarzem.

Gdyby tak Symmachus był na jego miejscu, toby się ani na chwilę nie zawahał...

— Nie — rzekł do siebie Rufus i opuścił szybkim krokiem pałac cesarski wcale cesarza nie pożegnawszy, — nie, już mu przegrałem cztery bitwy i połowę państwa, nie chcę być w dodatku jeszcze jego skrytobójcą. Jeśli bogi zechcą wynieść mię na tron, niechaj wyszukają sobie innej ręki do zgładzenia Maksencyusza!

Gdy naczelny wódz wojsk cesarskich zbiegał po schodach pałacu, aby w nocy jeszcze dostać się do obozu, spoglądał zanim żołnierz z przybocznej straży cesarskiej, który do tej chwili stał w głębokiem zamyśleniu oparty o marmurową poręcz schodów. Lecz widok dowódzcy tylko na chwilę zdołał przerwać mu myśli, które miotały jego duszą, jak woda kotłuje w morzu przed burzą. Marcyalis, gdyż on to był, rozmawiał był długi czas z biskupem Milcyadesem, i niektóre z tych rzeczy, które czcigodny biskup mu opowiadał, zyskały uznanie, a nawet wzbudziły w nim podziw, atoli wiele z nauk chrześciańskich odbiło się jak o stal o dumę i hardość rzymskiego wojownika.

— Bóg — mówił do siebie wstrząsając głową, — który pozwala sobie plwać w twarz, który da się biczować i nareszcie do krzyża przybić, nie, to nie dla mnie taki Bog.

Już trzy stulecia wydaje swoich zwolenników na pastwę najsroższych prześladowań, nie podnosi się, aby mściwym piorunem porazić swoje wrogi a mimo to żąda od swoich, aby dla niego poświęcili dobytek, zdrowie a nawet życie!

A oni rzeczywiście poświęcają to wszystko dla niego; żaden wojownik nie idzie z takim zapałem i radością do bitwy, jak ci chrześcianie idą na rzeź!

Chrystus mógłby mieć we mnie zwolennika, ale na to, abym rąbał mieczem, a każdego, któryby wyrzekł choć słowo przeciwko niemu, od razu wyciągnąłbym na ziemi. Lecz nie jestem zdolny do tego, aby znosić cierpliwie obelgi i poniewieranie, a nie schwycić nikczemnika i nie roztrzaskać go o mur. Nie, tego nie potrafię.

Jakby chcąc uciec przed swojemi myślami pobiegł Marcyalis spiesznie do skrzydła pałacu, w którem rozkwaterowani byli Herkulianie; atoli myśli te ścigały go ciągle, a we śnie jeszcze stał przed oczyma duszy jego obraz Milcyadesa, a w uszach brzmiały mu słowa,

których sędziwy staruszek używał na wyrażenie chwały krzyża świętego.

Walerya i Rustyka opuściły za nadejściem zmroku cyrk Maksencyusza i wróciły wraz z innymi wyznawcami Chrystusa do miasta; a gdy wstępowały do chaty położonej na Zatybrzu, na ciemnem niebie migotało już całe wojsko gwiazd błyszczących. Rufinus już wyszedł na kilka godzin z łóżka; odwiedziny papieża uszczęśliwiły go nad wyraz, a radości jego dopełnił biskup Milcyades obietnicą, że w przyszłą Niedzielę otrzyma od niego sakrament bierzmowania, poczem miał od jednego z dyakonów otrzymywać regularną naukę w prawdach wiary.

Oddawna już anioł pokoju rozpostarł nad chatą Zatybrza zasłonę snu słodkiego; ciche stróże nocy, gwiazdy niebieskie, spoglądały łagodnemi oczyma z góry na Rzym i dalekie niwy; lekki powiew nocy przesuwał się przez drzewa i krzaki jak ręka matki nad głową śpiącej dzieciny; z gasnących ognisk straży z obydwóch obozów podskakiwały jakoś złowrogie ostatnie płomyki; a w tej ciszy nocnej ciągle jeszcze czuwało jedno serce, serce matczyne, z tej uśpionej ziemi wznosiły się jeszcze do tronu boskiego modlitwy Ireny za kochanego syna. Tam zaś hen w dali spał snem sprawiedliwego Kandydus, a w duszy jego unosił się obraz miły i piękny, obraz Ireny, a ktoby był stał u jego posłania byłby widział i słyszał, jak jego usta uśmiechnięte we śnie szeptały słodkie imię matki.



NA ŁĄCE.

Była to błoga noc poprzedzająca ważny dzień, który miał zrobić zupełną zmianę, nietylko w historyi państwa rzymskiego, ale też i w dziejach Ko-

ścioła i świata. Z ciemnego sklepienia niebios oświecał sierp księżycowy łagodnem swem światłem legiony Konstantyna, obóz Rufusa, wieczne miasto odbijające się w ciemno-zielonych falach Tybru. Gdy jutro znowu zejdzie na firmamencie, jakże się zdziwi ten »zmienny księżyc« na widok tak ogromnej zmiany! Tylko wspaniały Tyber posuwać będzie szumiące fale do morza jutro jak dziś, wczoraj i przed lat tysiącem bez zmiany, wyobrażając nam niejako Opatrzność, która wśród zmiennych losów ludzi i narodów przechodzi niezmienna.

XII.
Drugi Baltazar.

Wczesnym rankiem dnia następnego zbudził Maksencyusza posłaniec, którego wyprawił Rufus z obozu z uwiadomieniem, że Konstantyn ustawia wojska w szyku bojowym, że walka może zawrzeć każdej chwili.

— Dobrze — odrzekł — w cyrku oczekiwać będę od mego naczelnego wodza wieści o zwycięstwie. Powiedz Rufusowi, aby się starał dostać Konstantyna żywcem w niewolę; w tryumfie powlokę tego nicponia tak, jak Herkules dzika erymanckiego.

Świeżo przybyłe legiony i pretoryanie byli to starzy, wyćwiczeni w walkach żołnierze, do tego należała jeszcze straż przyboczna cesarza, tak zwani Herkulianie, licząca 6000 głów. Maksencyusz posiadał zatem armię liczebnie daleko większą od armii przeciwnika; co się tyczy biegłości i zręczności nieustępująca w niczem wojsku Konstantyna. Co zaś najważniejsza, wojsko Maksencyusza nie było znużone męczącymi marszami. Częściowe zniechęcenie, jakie było zapanowało przed niejakim czasem, ustąpiło za nadciągnięciem legionów sycylijskich i afrykańskich witających dawnego swego wodza Rufusa z niezmiernym zapałem i radością. Całe zaś to wojsko było Maksencyuszowi oddane całą duszą, gdyż chytry tyran traktował je wedle bezwzględnej zasady cesarza Septymiusza Sewera: »Staraj się zadowolnić żołnierzy nie dbając o nikogo innego.« Jeszcze wczoraj kazał im wedle zwyczaju wypłacić w podwójnej ilości donativum tj. podarek pieniężny jako w rocznicę swego na tron wstąpienia. Mógł więc nawet bez wyroczni magów i gwiaździarzy wyczekiwać bezpiecznie zwycięstwa, a swoje myśli skierować spokojnie ku uświetnieniu uroczystości i zabaw dnia dzisiajszego.

W szafranowo żółtym mundurze z szerokiemi obwódkami, wysadzanemi złotymi i drogimi kamieniami, po nad tem szeroki, fałdzisty płaszcz purpurowy, złota promienista korona na skroni, w ręku berło z kości słoniowej z orłem u wierzchołka, a nawet i w trzewikach wysadzanych drogimi kamieniami wyszedł Maksencyusz o wyznaczonej godzinie z komnat pałacu przyjmując z uprzejmością pełną pogardy uniżone życzenia i pozdrowienia ubranych w świąteczne białe togi senatorów i rycerstwa.

Wśród odgłosu trąb i wrzasku tłumu rozpoczął się następnie świąteczny pochód z Palatynu przez łuk tryumfalny Tytusa przechodząc obok podwójnej świątyni Wenery i Romy. Sam cesarz jechał w postawie stojącej, trzymając na wzór tryumfującego palmę w ręku. Otoczony był odznakami polowymi swej straży przybocznej. Jechał zaś na wozie zwycięskim, zaprzężonym sześciu przepysznymi siwkami, wszystko lśniące od złota i kości słoniowej. W następującym powozie jechała małżonka cesarza, chociaż ubrana w przepyszne szaty złotem tkane, ale smutna jak grób ozdobiony wieńcami kwiatów; dzisiaj, gdy miano poświęcać cyrk na cześć Romulusa, podwójnie smutna na wspomnienie swego syna, którego czarne przeznaczenie wyrwało z jej macierzyńskich objęć. Senatorowie i rycerstwo, kapłani z posągami bożków, tudzież w białe szaty ubrane dziewice westalskie, dostojni urzędnicy nadworni w czerwonych złotem wyszywanych liberyach i reszta orszaku postępowała za powozem cesarskim, i to mężczyźni na koniach, kobiety zaś w lektykach albo w eleganckich powózkach. Pomimo ostrzeżeń Herakliusz nie zdołał powstrzymać swej małżonki Sabiny od uczest-

nictwa w uroczystości; Sabinus zaś jadący w orszaku cesarskim, za żadną cenę nie byłby się wyrzekł zabaw dnia dzisiejszego. Nieprzejrzany tłum ludu roił się przed i za pochodem i przyglądał się z okien, dachów, schodów i świątyń. Tysiące ciekawych wyszło już wczas rano, aby w cyrku dostać miejsce jak najwygodniejsze.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SOSNA.

Na wioskowych mogiłach
Rosła sosna borowa,
Pień jej krzepnął na siłach,
Wybujała jej głowa.
Pogiętemi konary
Na sto sążni rozwisa,
A korzeńmi bez miary
Żółty piasek wysysa.
Z mogił wyrósłszy cała,
Za te soki, co bierze,
Z wiatrem sobie szumiała
Za umarłych pacierze.

Aż coś jednej jesieni
Biedna sosna borowa
Coraz mniej się zieleni,
I pożółkła jej głowa.
I została na stronie
Codzień cichsza, milcząca,
Każdy wietrzyk, co wionie,
Więcej kolców z niej strąca;
Rzuca w ziemię rodzimą
Zeschłe szyszki i ziarna...
W końcu — jeszcze przed zimą —
Zeschła sosna cmentarna.

Wiatr żałośnie jej pyta:
»Biedna sosno z mogiły!
Czyś ty gromem przebita?
Czy-ć robaki stoczyły?
Czy ci żeru nie było
W żółtym piasku z poblizka?
Albo kamień swą bryłą
Twe korzenie naciska?«

»Och! mnie nie tknął grom z burzą
I robaki nie toczą;
Ziemia soków ma dużo
I mnie karmi ochoczo;
Gdzie kamienie i głazy,
Szłam z korzeńmi z daleka;
Wrosłam — gorzej sto razy!
W trumnę złego człowieka!
Trumna zgniła na próchno,
Zgniły w piersiach mu błonki,
W serce trupa leciuchno
Zapuściłam korzonki.
Chłód mię przebiegł grobowy,
Gdym possała zeń trocha;
Bo to człek był takowy,
Co nikogo nie kocha!
Pierwsze z piersi swej soki
Dał cmentarnej hoinie;
Czułam, jak z tej opoki
Brzydki we mnie jad płynie.
Z jadem śmierci w mem łonie
Byłam smutna, milcząca...
Każdy wietrzyk, co wionie,
Więcej kolców mi strąca.
Próżno w ziemię rodzimą
Nowe rzucać chcę ziarna...
Ziarna zeschły — przed zimą
Ginie sosna cmentarna!«

L. Kondratowicz (Wł. Syrokomla).

ADAM ASNYK.

W Krakowie zmarł 2-go Sierpnia Dr. Adam Asnyk, którego uważają za najznakomitszego współczesnego poetę polskiego.

Adam Asnyk urodził się w dniu 11-go Września 1838 roku w Kaliszu w Królestwie Polskiem. Po matce Konstancyi, z rodziny Zagorskich, odziedziczył talent poetycki, który go wyróżniał od najwcześniejszych lat dziecięcych, kiedy zaczął układać pierwsze wierszowane powiastki. Po ukończeniu gimnazyum realnego w rodzinnem mieście w roku 1853 uczył się młody Asnyk w domu głównie języków nowożytnych, a w roku 1856 wstąpił do szkoły rol-

niczej w Marymoncie pod Warszawą. Jednakowoż nie pozostał tam długo, bo już w roku 1857 poszedł na wszechnicę Warszawską, gdzie oddawał się studyom lekarskim. Dwa lata później zjechał na Ślązk, gdzie na wszechnicy wrocławskiej dalej oddawał się badaniom medyczno-przyrodniczym. Z Wrocławia udał się 1860 r. do Paryża, a ztąd do Heidelberga, gdzie nie studyował już medycyny, lecz poświęcał się naukom społeczno-politycznym. »Wątły, smukły z marzycielstwem w oczach — jak opisuje Asnyka jeden z kolegów uniwersyteckich — a pełen porywów płomiennych, mało się udzielał a jeszcze mniej mówił. Zamknięty w sobie, snuł przędzę pieśni, którą potem osnuć miał tyle serc, dusz. Nie wyjawiał się, że coś pisze a przecie wszyscy czuliśmy w nim poetę górnego lotu, który w ciszy i skupieniu przygotowywał się do tej roli, jaką mu Bóg w narodzie przeznaczył.«

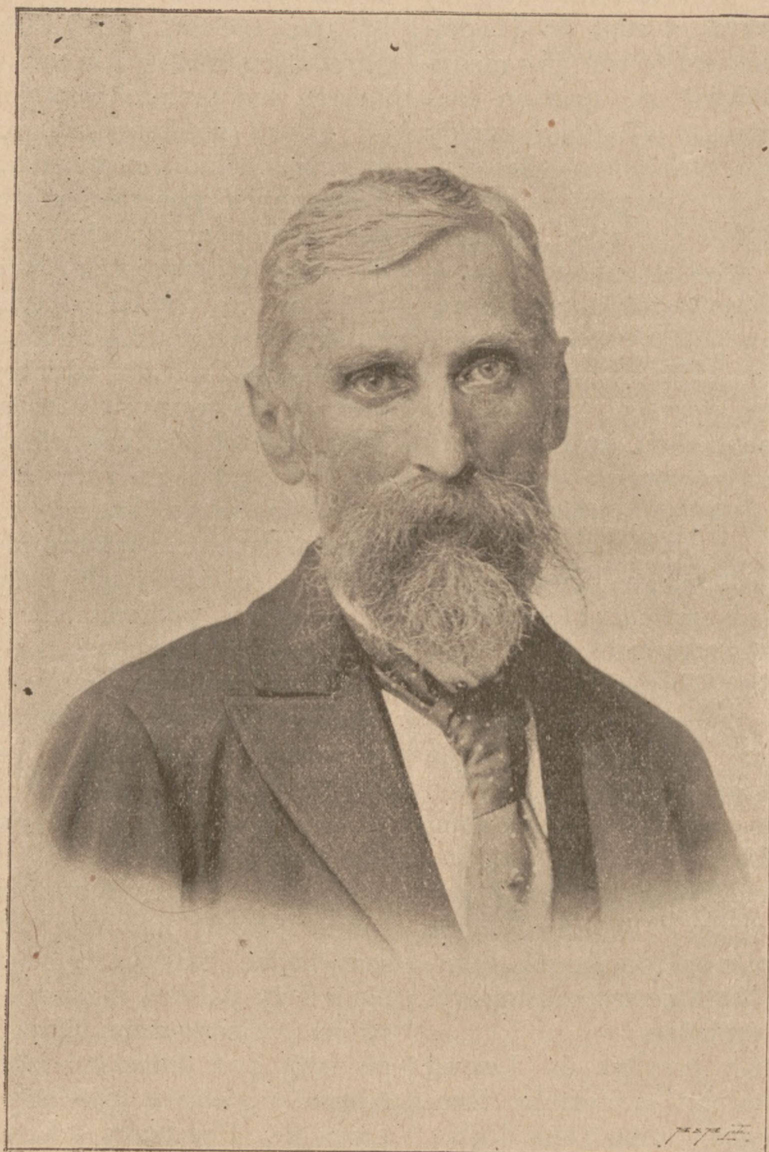
Z powodu ostatniego powstania w roku 1863 wrócili studenci Heidelberga do ojczyzny. Asnyk należał do tych, którzy powstanie przygotowali i był nawet członkiem tajnego rządu narodowego. We walce za ojczyznę poległo wielu z jego kolegów. On szczęśliwie ocalał a po nieszczęśliwym zakończeniu powstania musiał wyjechać za granicę. Powrócił do Heidelberga, ukończył tam studya i złożył egzamin doktora filozofii. Następnie podróżował po Anglii, Francyi, Holandyi, Włoszech i Szwajcaryi rozszerzając swą wiedzę.

W roku 1867 przybył do Lwowa jako współpracownik »Dziennika Literackiego«, który już w roku 1864 drukował jego utwory, podpisywane ze względu na rosyjską cenzurę przybranem nazwiskiem Stożka i El...y. Podczas swego pobytu we Lwowie wydał pierwszy tom swych poezyi (w r. 1869), które wywołały uwielbienie i rozsławiły imię poety. W roku 1870 zamieszkał w Krakowie na stałe; w Poznaniu poślubił córkę lekarza dr. Kaczorowskiego w roku 1875. Żył z nią tylko rok, gdyż zmarła przy porodzie syna Włodzimierza, obecnie ucznia uniwersytetu krakowskiego.

Okropne to przejście wywarło wpływ wielce ujemny na zdrowiu osieroconego, który w przyrodzie górskiej, wśród wichrów tatrzańskich szukał ukojenia po tak bolesnej stracie. Tak więc sprawdziły się na poecie własne jego słowa: »Sen był mi życiem, przebudzenie męką.« Smutek ogarniał go odtąd nieodstępny. Zawsze był ponuro nastrojony. Stronił od gwaru wielkomiejskiego, zamknięty w swym odludnym dworku, gdzie tyle znakomitych powstało utworów. Może aby sobie przez gorączkową pracę sprawić ulgę w swym żalu, rzucił się w r. 1882 we wir walki politycznej. Objął redakcyę gazety »Reforma« w Krakowie i brał odtąd czynny udział w bieżących pracach politycznych i kraju. Od roku 1884 należał jako członek rady miejskiej Krakowa, gdzie go 1886 r. wybrano na posła do sejmu krajowego. Posłował przez 6 lat, aż stan zdrowia się tak pogorszył, że nie mógł dalej pracować w sprawach politycznych. Społeczeństwo polskie obchodziło 13-go Grudnia 1896 w Krakowie uroczyście 30-letni jubileusz jego pracy literackiej. Była to wzniosła chwila, gdy wszyscy składali hołd jego poezyi.

Choroba piersiowa, suchoty, co raz więcej mu dokuczała. O ile siły mu jeszcze starczyły, zajmował się Towarzystwem oświaty ludowej, którego prezesem będąc bardzo się starał o założenie szkoły polskiej w Białej. Ostatniem swoim pociągnieniem pióra położył podpis swój pod dokument złożony w kamieniu węgielnym tej szkoły dnia 25-go Lipca br. Pojednany z Kościołem i pokrzepiony śś. Sakramentami zmarł w Poniedziałek, 2-go Lipca, rano pomiędzy 8 a 9 godz. w swoim domku przy ulicy Łobzowskiej nr. 7.

Zwłoki ś. p. Adama Asnyka odwiedziło liczne grono przyjaciół, znajomych i publiczności. W pokoju domku parterowego po stronie prawej od wejścia, stał katafalk, na którym wśród zieleni i świateł spoczywało ciało ś. p. Adama Asnyka, złożone w czarnej metalowej



ADAM ASNYK.

trumnie. Rysy niezmienione, pełne pośmiertnej powagi. Pokój wraz z przedpokojem obity kirem. U wezgłowia mały ołtarzyk z krucyfiksem, otoczony jarzącymi kandelabrami; w rękach mały krzyżyk. Piersi okrywa wieniec o dwukolorowych biało-ponsowych szarfach. U stóp poety spoczywa duży wieniec z liści laurowych i palmowych o czarnych szarfach, z napisem »Jagiellonia.« Balsamowania zwłok dokonał prof. Dr. Browicz. Maskę pośmiertną zdjął artysta-rzeźbiarz p. Tadeusz Błotnicki. Fotografię pośmiertną wykonał p. J. Mien.

Miasto Kraków urządziło pogrzeb poety na koszt miasta i postarało się o złożenie zwłok w grobach zasłużonych na Skałce u OO. Paulinów. Pogrzeb odbył się w Piątek 6-go Sierpnia o godzinie 4 po południu przy tych samych obrzędach, jak przy pogrzebie Matejki i Lenartowicza. Zamiast wieńców na trumnę, składano według życzenia zmarłego fundusz na szkołę w Białej, która nosić będzie jego imię. Ze wszech stron nadsyłano synowi zgasłego poety telegramy i pisma wyrażające serdeczne współczucie, mianowicie też Czesi i Rusini przyłączyli się do żalu, jaki ogarniał naród polski.

Ś. p. Asnyk był poetą miłości i natury. Jego poezye umieszczone są w czterech tomach których ostatni wyszedł 1894 r. w Krakowie. Nie mało ich tłómaczono na czeskie, niemieckie i inne języki. Nasi czytelnicy znają niejednę z jego piosenek, któreśmy w »Świetle« podali.

Dla swego miasta rodzinnego, Kalisza, którego dla udziału w powstaniu roku 1863 długo nie było mu wolno odwiedzać, żywił zawsze rzewne uczucia miłości i przywiązania, którym dał przepiękny wyraz w wierszu p. t. »Rodzinnemu miastu.« Powiada w nim:

»Jak tam spokojnie płynie ludzkie życie,
Mierzone dźwiękiem słodko brzmiących godzin,
Jak wody w Prosny łagodnym korycie,
Dnie upływają w kółku cichych rodzin,
I z domowego ogniska blask strzela,
Który przechodnia oczy rozwesela.

Ach! z tem ogniskiem dusza moja wzrosła
I brała z niego macierzyńskie ciepło,
Zanim daleko fala mnie uniosła
Na brzeg, co dłonią pochwyciłem skrzepłą,
Więc gdy te domy i serca zobaczę,
Jak dziecko ręce wyciągam i płaczę.

Bo cóż słodszego? nad rodzinny związek,
Co wielkiem drzewem jedności wyrasta,
I pełen wiecznie zielonych gałązek,
Ocienia sobą cały obręb miasta.
I nad tę wiarę, która wszystko zbliża,
W nawie kościelnej u jednego krzyża?

I cóż świętszego? nad domowe cnoty,
Nad tę tradycyą żywą, starożytną...
Cóż jaśniejszego? nąd ów szczerozłoty
Wesoły uśmiech, którym twarze kwitną,
I nad tę cichą zacnych serc zążyłość.
Co niesie szczęście, niosąc z sobą miłość?

. . . .

Tylko sny dawne zlatują się do mnie,
Spływając łukiem różnobarwnej tęczy...
I widzę wszystko, com śnił nieprzytomnie
Nad nurtem rzeki wsparty na poręczy...
Lecz te marzenia nie wydały plonu
I jestem smutny — smutny aż do zgonu.

Jednak nie chciałbym teraz mej żałoby
Zawiesić chmurą nad poczciwym grodem,
Chciałbym na boku pozostawić groby,
A zejść się z życiem szlachetnem i młodem,
Co jak bluszcz swoją latorośl przeciska
Do słonecznego światła — przez zwaliska.

JURATA, KRÓLOWA BAŁTYKU.

(PODANIE ŻMUDZKIE.)

Przed wieki, kiedy ludzie nie umieli jeszcze wytłumaczyć sobie ani tego szumu, huczenia i jęczenia morza, które w człowieku trwogę i podziw budzi, ani owego echa odzywającego się w lasach i gęstwinach ciemnych puszcz, ani zkąd się biorą bryły bursztynu pięknego nad brzegami Bałtyku, ani zkąd pochodzi migająca w czarnych chmurach błyskawica i grzmiący piorun nad głowami; kiedy jeszcze nie znali prawdziwego Boga: wymyślili sobie różne bogi, boginie i duchy, mieszkające to w burzach morza, to w lasach, chmurach i piorunach; wymyślili sobie różne cudowne dziewice na dnie rzek i jeziór, zaczarowane kró-

lewny i królewiczów, a zjawiska, których wytłumaczyć sobie nie umieli, ustroili w dziwne powiastki, które idąc z ust do ust od wieków do wieków, doszły i do naszych czasów, a chociaż do nich tej wiary nie przywięzujemy, którą przywięzywali praojcowie nasi, jednakże mile nas bawią i długo jeszcze następców naszych bawić będą. W onych czasach dalekich i ciemnych powstała i następująca cudowna powiastka o Juracie. Pramzimas, bóg nieba, ziemi i morza, miał śliczną córkę Juratę, której oddał królestwo wodne, t. j. panowanie nad wszystkimi mieszkańcami morza. Stolicą Juraty był pałac pyszny, na dnie głębin morza. Ściany gmachu tego były z najczystszego białego bursztynu, progi ze złota, dach z rybich łusek a okna z dyamentów tak przezroczystych jak woda.

Pewnego razu rozesłała Jurata wszystkie szczupaki z listami do wszystkich dziewic wodnych rozkazując im, aby stawiły się do bursztynowego pałacu na gody i wspólną naradę. Gdy nadszedł dzień naznaczony, stawiły się wszystkie boginie wodne. Królowa Jurata, otoczona orszakiem najpiękniejszych nimf, ze złotą koroną na głowie i z bursztynowem berłem w ręku, weszła do wielkiej sali, uprzejmym ukłonem powitała nadobne dziewice, a zasiadłszy na bursztynowym tronie, tak do zgromadzonych mówiła:

»Miłe przyjaciółki i towarzyszki moje! Wiadomo wam, że wszechwładny Pramzimas, ojciec mój a pan nieba, ziemi i morza, pod moją władzę oddał te wody i mnie poruczył panowanie nad wszystkimi mieszkańcami morza. Wzywam was na świadki, jako łagodne i szczęśliwe były rządy moje. Żadna choćby najdrobniejsza rybka, żaden choćby najmniejszy robaczek, nie miał przyczyny skarżyć się na moje królowanie: wszyscy żyli w pokoju i zgodnie, nikt się nie poważył targnąć na życie drugiego. Ja sama, wasza królowa a pani tego morza i wszystkiego co w niem żyje, nie śmiem ani jednej rybki ułowić do mego stołu, nawet flonderki, które tak lubię, tylko po jednej połowie zjadam, a drugą połowę znów wolną do morza puszczam. Tymczasem jeden nikczemny rybak, nazwiskiem Kastitis, nad brzegami mego królestwa, tam gdzie rzeka Święta hołd mi składa, wylewając w morze wody swoje, ośmiela się w państwie mojem naruszać powszechną spokojność: słuchajcie! oto śmiertelnik ten łowi w sieci poddanych moich, łowi ryby i rybki i na śmierć je wskazuje. Śmiałości takiej darować mu nie mogę. Już gotowe czekają nas łodzie, siadajmy i płyńmy, miłe towarzyszki moje, nad brzegi Świętej, bo właśnie o tej porze zwykł tam Kastitis zarzucać sieć na poddane moje. Naszymi wdziękami, pląsami i śpiewami zwabimy go na zimne dno morza i dokonamy naszej zemsty, a piękne jego oczy, któremi czaruje wszystkie dziewice Żmudzi, mokrym żwirem zasypiemy.«

Królowa Jurata rzekła, a śliczne boginie i dziewice wodne skłoniły się na znak posłuszeństwa. Natychmiast stanęło sto łodzi bursztynowych, ozdobionych perłami. Przy odgłosie czarownych pieśni cały orszak dziewic cudnej urody z najpiękniejszą Juratą na czele, popłynął na spokojnych falach szklistego morza na brzeg, by zemsty dokonać.

Dzień był jasny, słońce świeciło najpogodniej, ciche morze lśniło się jakby jedno ogromne zwierciadło, w którem błękitne niebo wesoło się przeglądało, najmniejszy wietrzyk milczących wód nie poruszał, tylko lekkie łodzie szybko się pomykając, zostawiały długie ślady jakoby drogi za sobą.

Już ląd blisko, czarowne śpiewy bogiń mile rozlegają się w ciemnych lasach nadbrzeżnych, a każde echo po stokroć powtarza: biada ci rybaku młody! Gdy dziewice dobijały do brzegów morza przy ujściu rzeki Świętej, ujrzały swego wroga młodego rybaka Kastitisa, jak sieci rozwijał. Zdumiały się nad urodą rybaka: wysokie białe jego czoło było pogodne jak niebo, oko błękitne jak toń wody, czarne długie włosy ocieniały urodziwą jego twarz, jak ocieniają ciemne drzewa brzegi morskie. Z spokojem w duszy, z weselem w sercu a pio-

senką na ustach rozkładał Kastitis sieci, marząc o sutym połowie.

Wtem słyszy jakieś czarodziejskie dźwięki, odbijające się rozkosznie o tonie morza i odzywające się setnem echem w głębokich lasach nadbrzeżnych; podnosi oczy i spostrzega sto łodzi bursztynowych, które ćmią wzrok blaskiem odbijających się promieni słońca, a na stu łodziach widzi sto dziewic nadziemskiej urody, a na czele ich najpiękniejszą królowę, z bursztynowem berłem w ręku, ze złotą koroną na głowie. Pieśni brzmią coraz milej, coraz dźwięczniej, a grono morskich bogiń otacza kołem rybaka, wabiąc go wdziękami i śpiewami na łodzie do siebie.

O! rybaku piękny, młody,
Porzuć prace, chodź do łodzi,
U nas wieczne tany, gody,
Nasz śpiew troskę twą osłodzi.

My obdarzym boskim stanem,
Skoro z nami mieszkać będziesz,
Śród nas będziesz morza panem
I ukochanym nam będziesz.

Słyszy to rybak, słucha i patrzy zdumiony, oczom swoim nie wierzy, co to ma znaczyć sam nie wie. Ujęty cudnym śpiewem i pląsami bogiń, porzuca sieci, idzie rzucić się na łodzie, już brnie w falach morza, by upaść do nóg morskiej królowej, albo zginąć na wieki w toniach wody, gdy Jurata, zdumiona pięknością rybaka, podnosi bursztynowe berło na znak uciszenia się, i tak się odezwie:

»O stój niebaczny młodzieńcze! Zbrodnia twoja wielka, zakłócasz spokój moich poddanych, zadajesz śmierć najpiękniejszym moim rybom i rybkom, zasłużyłeś więc na śmierć, którą ci zadać przypłynęłyśmy z bursztynowego pałacu. Ale ujęła mnie młodość twoja. Przebaczę ci twoję winę, jeżeli mi przysięgniesz, że mi wiernym będziesz. Lecz jeżeli mną wzgardzisz, mną potężną morza królową, Juratą, córką wszechwładnego Pramzimasa, natenczas biada ci, rybaku młody. Zaśpiewam ci tylko jedną piosnkę, a natychmiast staniesz przy mnie, i za dotknięciem mojego berła, zginiesz na wieki! Wybieraj!

Ukląkł Kastitis, nachylił głowę i wieczną królowej morza zaprzysiągł wierność.

»Teraz jesteś już moim — zawołała Jurata — pozostań nad brzegiem morza, nie zbliżaj się do nas, bo gdybyś tylko jeden krok uczynił, przepadłbyś na wieki w głębinach wód, nad ciałem twojem okrutną zemstę wywarłyby poddane moje, oczy twe zasypałby żwir mokry. Ale ile razy skinę na ciebie, posłuszny mej woli, masz tu przedemną stanąć.

To rzekłszy, skinęła Jurata bursztynowem berłem, zaszumiały wiosła, i cicho bez śmiechów i śpiewów, odpłynęły boginie i morskie dziewice do bursztynowego pałacu.

Rok już mijał, a wierny przysiędze, Kastitis stawał przed Juratą na każde jej skinienie, pełniąc we wszystkiem jej wolę.

Lecz Perkun, potężny władca gromów i piorunów, dowiedziawszy się, że królowa bogini, nie ukarała należycie śmiertelnika, lecz przeciwnie osłania go opieką swoją, srodze się rozgniewał, i spuścił piorun z nieba, który z okropnym traskiem i łoskotem rozpruł bałwany morskie, bursztynowy pałac na drobne roztrzaskał kawałki, a Juratę zabił.

Pramzimas, bóg nieba ziemi i morza, a nieszczęśliwy ojciec Juraty, mszcząc się śmierci swej córki, porwał młodego rybaka Kastitisa, przykuł go na dnie morza do skały i złożył u nóg jego martwe ciało Juraty, nad którem on wiecznie płakać musi i wiecznie płakać nad nieszczęściem swojem.

I od tego to czasu, kiedy wiatry zahuczą i wzburzonemi falami na wszystkie strony miotać poczną, wydobywają się z głębin pieniącego się morza dalekie żałośne jęki: są to wyrzekania nieszczęśliwego rybaka. Szczątki zaś strzaskanego bursztynowego pałacu królowej Bałtyku, dotąd morze na brzegi wyrzuca.



MORSKIE OKO W TATRACH.

Jak tu tchnąć miło, jak tu przyroda
I wiecznie piękna i wiecznie młoda.

Do największych osobliwości w Tatrach liczą się stawy na znacznej stosunkowo położone wysokości. Jest ich tam blisko sto różnej wielkości, a z tych Morskie Oko zyskało najwięcej rozgłosu i zdobyło sobie sławę najpiękniejszego jeziora tatrzańskiego. Już sama jego nazwa świadczy o uroku, jaki wywierać musiało od dawna na lud, który nad temi toniami przebywał. Baśnie, podania i dziwne wieści osnuły się na tle tego czarownego jeziora.

O nieżmierzonych głębiach wód Morskiego Oka, o łączności dna jego z morzem, o potwornych rybach w niem żyjących, które miały porywać pasące się u brzegów owce; o straszliwym wirze na środku jeziora, pochłaniającym wszystko, co się nań nawinęło, krążą do dziś dnia wieści fantastyczne. Podanie mówi o jakimś podróżnym, który na morzu po rozbiciu okrętu straciwszy kuferek z pieniędzmi i rzeczami, zwiedzając Morskie Oko na wodzie jego swoję zgubę odnalazł. Byli nawet tacy, którym się tutejsza woda podobną w smaku wydała do morskiej.

Gdzie się wytworzyło tyle powieści, fantazya musiała ku temu mieć odpowiednie pole. Przyroda piękna, urocza, o jakiej tylko marzyć można, cudowna, że jej wdziękami trudno się nasycić, tak jest wielka, iż w jej rozmiarach gubią się zmysły ludzkie. Wszystko, czego się tchnąć, zdumiewa, olśniewa i przenosi w świat idealnych myśli.

Morskie oko leży w samym rdzeniu Tatr, w kotlinie otoczonej z trzech stron wyniosłemi górami, na wzniesieniu 4380 stóp (1384 metr.) po nad poziom morza Bałtyckiego. Dotarłszy do stóp Tatr od północy wstępuje się na dolinę Białki, silnego potoku górskiego, któremu daje początek Morskie Oko. Przy Łysej Polanie (wzniesionej 3054 stóp 965 mtr.) wysoka skała jest jakby bramą do serca Tatr, odkąd jeszcze półtorej mili ciągnie się dolina po główny grzbiet, dnem swojem unosząc w bystrym prądzie wody Białki. Potok ów posiada tę właściwość, że pomimo znacznego spadu, gdyż na przestrzeni od Morskiego Oka po Łysą Polanę dolina Białki zniża się o 1348 stóp nie natrafia w całej swej drodze na takie progi, któreby mogły wytworzyć wodospady niepodobne rybom do przebycia, i to jest przyczyną, że w Morskiem Oku żyją pstrągi i łososie. Przez to zowie się ono także Rybiem Jeziorem. Tylko jeden jest jeszcze staw Popradzki na południowej stronie Tatr, posiadający tenże sam przymiot swego upływu; z tegoż powodu chowają się w nim ryby, i ma drugą nazwę Małego Rybiego.

Doliną Białki do Morskiego Oka wózek się zatoczyć zdoła, nie ma bowiem po drodze żadnej przepaści ani nawet nagłego brzegu, chociaż w żadnym razie podróż tędy na kołach wygodną nie jest, z powodu spustoszenia, jakie na tej drodze zrządza każda burza, a zwłaszcza powodzie wynikające na wiosnę z topnienia śniegów, w lecie z długich deszczów. Niebezpieczną znów nigdzie nazwać się nie może. Oprócz licznych strumyków przebywa się na tej przestrzeni jeden większy potok z Roztoki płynący od Pięciu Stawów. Przez wyłom przy ujściu doliny Białej Wody do Białki odsłania się najwyższy Tatr wierzchołek, Garluchowski szczyt (wysoki 8424 stp. 2662 mtr.) i inne wyniosłe dają się widzieć szczyty: Wysoka, Ganek, Rysy, i t. d.

Dążąc tak wśród najwspanialszych widoków to lasem, to zrębem, przychodzi się w kotlinę, z której już nie widać wyjścia. Olbrzymia góra, najeżona urwiskami, przepaściami, ubrana w białe śniegu płaty, zapiera dolinę z przodu od południa, zowią ją Międuszowieckim Wirchem. Od zachodu piętrzy się mniej dzika góra Miedziane, a od wschodu zamyka widnokrąg zlodowaciała otchłań, okolona Rysami. Poszarpanym

tym grzbietem wlecze się granica węgierska.

Drożyna wiedzie na zniesienie, niby groblę, zkąd już tylko parę kroków, zdaje się, dzieli ją od Mięguszowieckich turni. W tem nagle odsłania się ciemnogranatowa powierzchnia wody i jakaś nowa odchyla się przestrzeń, której się wcale nie spodziewało. Jeżeli pogoda sprzyja, a słońce oświeca całą okolicę, to ma widz przed sobą widok, na którego opis nie wystarczą słowa.

Jezioro owalne, z lesistymi brzegami, zamknięte naokoło dzikiemi turniami, które się jeszcze wznoszą przeszło 3300 stóp nad powierzchnię wody, jest właśnie Morskiem Okiem. Dziwne i niepojęte nasuwają się tu przeciwieństwa. Z jednego brzegu wiosna się uśmiecha, gdy z drugiego tchnie zima. Grube, wieczne śniegi urągają słońcu, które je oświeca a nie stopi.

Romantyczność i piękność Morskiego Oka podnosi ta jego właściwość, że leży ono w krainie lasu, w tak zwanym zasiągu leśnym, który w Tatrach dochodzi najwyżej do 4800 stóp. Jeden tylko jeszcze w tych górach jest staw Szczyrbski, co leży podobnież nisko, a nawet o 108 stóp niżej od Morskiego Oka, lecz od niego o wiele jest mniejszym. Zresztą wszystkie stawy mają wzniesienie wyższe, to wśród zasiągu kosodrzewiny do 6264 stóp to już wśród nagich skał, a nawet samych śniegów, że powierzchnia ich wód jeszcze w Lipcu bywa zamarzniętą. Jeżeli deszcze i letnie gorąca w Sierpniu tych lodów nie stopią, to już rychło w jesieni pływające kry na nowo się ścinają w jednę całość.

Chociaż powierzchnia Morskiego Oka liczy 59 morgów kwadratowych (33 hektarów), nie wydaje się ono pozornie tak rozległem jak jest, bo ogrom piętrzących się nad niem wierchów sprawia złudzenie na jego niekorzyść. Dopiero puściwszy się na jego tonie tratwą, nabieramy wyobrażenia rzeczywistego o rozmiarach jeziora. Blisko pół godziny potrzeba, by go wzdłuż przepłynąć. Człowieka na przeciwległym brzegu dostrzedz niepodobna. Tratwa z całym swoim ładunkiem kilkunastu ludzi, jaki zwykła mieścić, zaledwie się z brzegu punktem wydaje, skoro połowę długości jeziora przepłynie.



Morskie Oko czyli Rybie Jezioro w Tatrach.

W około da się obejść Morskie Oko, potrzeba na to dwóch godzin czasu, bo chociaż brzegi są połogie, lecz od wschodu i zachodu zarastają je gęsto kosodrzew, różne krzewy, świerki i limby, bujne trawy i mchy, które utrudniają pochód zarówno z moczarami, jakie się tworzą ze ściekających do jeziora wód. Bok północy jest łatwo dostępnym, wznosi się nad nim wyżej o 23 stopy grobla, z której się po raz pierwszy jezioro ogląda po drodze z doliny Białki. Bok południowy zaścielają wielkie usypiska z gruzów kruszących się turni Mięguszowieckich powstałe, samym brzegiem zarosłe kosodrzewiną. W kącie wschodnio-południowym widać niby olbrzymią groblę, po której toczy się wstęga biała. Jest to główny przepływ Morskiego Oka. Woda od Czarnego Stawu, którego istnienia domyślić się można z kształtu kotliny, spada po wyniosłych progach i tworzy piękne wodospady. Nagie skały, zasłane śniegiem w źlebach mkną gdzieś w dal tak, że najwyższy ich szczyt Rysy 7934 stóp liczący (2508 mtr.), gubi się pośród dziko najeżonych turni. Po wschodnim brzegu Morskiego Oka na zboczu Żabiego Szczytu rosną najbujniej śliczne a osobliwe drzewa iglaste, limby, gatunek cedrów. Zasiąg ich znacznie wyższy od wszelkich innych drzew w Tatrach, dochodzi do 5400 stóp. W szyszkach limbowych znajdują się orzeszki, z których można wycisnąć olejek wonny, a z desek tego drzewa wyrobione skrzynie służą wyśmienicie na przechowanie futer i wełnianych rzeczy, chroniąc je od moli, bo zapachu limbiny robactwo nie znosi.

Powierzchnia wód Morskiego Oka w czasie spokojnym tak jest gładką, jak szyba szklanna i wtedy w niej przeglądają się szczyty okoliczne gdyby w zwierciadle. Tratwa po niej wówczas, gdy posunie, zostawia po sobie na długo ślad w postaci drogi. W pogodę mieni się barwa jeziora. Na pozór granatowa, na ostatnim krańcu fioletowa, przechodzi bliżej patrzącego w błękit, to znów w szmaragd a ku brzegom w silny żółty kolor się przeistacza aż do czerwoności. Mimo to woda ta w szklankę zaczerpnięta jest bezbarwną, i tak przezroczystą w swej całej masie, iż na kilkadziesiąt stóp w głąb wszystko widać co się na dnie znajduje.

Lada wietrzyk mąci tę zwierciadlaną gładkość powierzchni wody; tworzą się na niej oczka połyskujące jakby łuska srebrna. Wśród słoty traci Morskie Oko swą uroczą szatę, ołowiane niebo nadaje toniom jeziora, szarą, matową powłokę. Gdy zaś burza nad niem zahuczy z wichrem, zamienia przedtem mile wzrok pieszczący widok na obraz pełen grozy. Wzruszone wody biją falami o brzegi, gromy mnożą się echem, niesione po kotlinach wierchy toną w chmurach, walka żywiołów wzburzonych przejmuje strachem. Łatwo sobie przez to wytłómaczyć, dlaczego mogą się wyłaniać pojęcia o Morskiem Oku wprost sobie przeciwne, skoro zależą one od czasu, w jakim kto czarowne to jezioro oglądał.

Morskie Oko musiało powstać z nagromadzenia się wody w zagłębieniu jednolitej skały, jaką jest granit. Z biegiem czasu zmniejsza się jego głębokość, bo go zasypują ciągle odłamy turni okolicznych. Nietylko z brzegów, ale i zdala od nich staczają się na dno głazy w czasie wiosny, gdy jeszcze kraje jeziora są zamarznięte i śniegiem pokryte, służą one wtedy za pomost spadającym złomom granitu.

Po zbadaniu dna Morskiego Oka okazało się, że ma kształt owalnej miednicy, cały środek pokrywa ił, kraje naokół brzegów zaścielają gruzy różnej wielkości. W oddaleniu 100 stóp od brzegów głębokość wód wynosi różnie, od 50 stóp do 100, środkiem od 130 do 156 stóp (49,5 mtr.) i to jest największa głębia Morskiego Oka.

Woda z jeziora, chociaż zimna, liczy bowiem przeciętnie $+8^0$ Rmr., do picia jest niedobrą; ma smak deszczówki. Ubytek wody do Białki, dopełnia oprócz dopływu z Czarnego Stawu, strumyk z poza Mnicha, i liczne na około ścieki z deszczów i topniejących śniegów. W

czasie ulewnych opadów podnosi się powierzchnia jeziora i zalewa brzegi zwłaszcza poniżej grobli.

Kto zwiedza Morskie Oko, udaje się także do Czarnego Stawu wyżej odeń położonego o 642 stopy (203 mtr.) Zwykle się przebywa Rybie Jezioro wzdłuż na tratwie, potem pieszo spina się w górę ścieżką obok potoku w ciągłych wodospadach się toczącego i staje się na brzegu z dala widocznej grobli, zkąd widać cały Staw Czarny. Wynosi on powierzchni 38 morgów kwadratow. (21,3 hekt.) a głębia wód jego sięga 243 stp. (77 mtr.) Otoczenie ma niezmiernie dzikie, a chociaż leży jeszcze 5022 stp. (1587 mtr.) w zasięgu kosodrzewiny i limby, jednak tylko na brzegu od Rybiego roślinność się tu rozwija i to skąpo. Trochę krzewów kosodrzewu tworzy całą jego okrasę. Inne brzegi zaścielają śniegi i żwirowe usypiska nazywane w Tatrach piargami. Grzbiet od południa się piętrzący, rzuca daleko cień i to sprzyja stałemu przechowywaniu się wielkich płatów śniegu po nad Czarnym Stawem. Martwota tutejszej natury przeraża i odejmuje odwagę do zapuszczania się głębszego na wyżyny tatrzańskie. Krzyż żelazny zatknięty tu w głazie granitowym, wspaniale odpowiada całości widokręgu. Wcale inne, ożywcze wrażenie sprawia Morskie Oko, gdy się ku niemu z brzegu Czarnego Stawu odwrócimy. Tchnie z niego życie, gdy od Czarnego Stawu wieje smutek. Tu świat się nam przedstawia głuchą dziką, zlodowaciałą pustynią, gdzie tylko w powietrzu orzeł czasem zawiśnie, lub dzika koza w turniach się zabłąka, zresztą ani śladu życia. Nie dziw więc, że milej ludziom u Morskiego Oka, które się im uśmiecha i pięknością czaruje, a nie przestrasza.

NA STRACONEJ CZACIE.

(Dokończenie).

Pierwszy stary wiarus dopadł niebezpiecznej czaty i przyskoczywszy piorunem do Tribarda, pytał skwapliwie, co się stało.

— Eh, nic nadzwyczajnego — odparł niedbale młody żołnierz — i doprawdy nie potrzebnieście się tak daleko trudnili. Dzika świnia zbliżyła się do mnie na dwieście kroków, takie tu już śmiałe szelmy, teraz, więc ponieważ miałem pozwolenie dać ognia do czegokolwiek zechcę, zabiłem dzika dla was na pieczeń.

Bellegarde szybko poskoczył na miejsce, gdzie dzik leżał, i pochylił się nad nim; lecz w tej samej chwili, jakby na widok węża, albo złego ducha, rzucił się gwałtownie w tył, wrzasnąwszy przeraźliwie:

— A niech cię milion bomb ustrzeli, koleżko, z taką pieczenią! Chodźcie-no, chodźcie, co prędzej! Ten wspaniały zwierz jeszcze żyje, ale nie jest wcale dziką świnią! Jeno ostrożnie!... Bo gotów jeszcze którego poczęstować... tylko nie pieczenią.

Na to wołanie, zdziwieni żołnierze rzucili się ku staremu wiarusowi i owej dziwnej zwierzynie, niewyłączając Tribarda, który ogromnie był ciekawy, jakiego też zwierza, czy jakie licho zastrzelił.

Przypadli wszyscy żywo i ujrzeli, zamiast dzikiej świni, olbrzymiego Indyanina, z pokolenia okrutnych Huronów, który wijąc się we krwi, dogorywał, wydając ostatnie tchnienie; kula Tribarda przeszyła mu piersi w okolicy serca.

Olbrzymi Huron odziany był w skórę, zdartą z dzika razem ze łbem; naśladował zaś chód, wszystkie ruchy i rechtanie dzikiej świni, z tym przedziwnym talentem naśladowania dzikich zwierząt, który Indyanie posiadają w najwyższym stopniu.

Przebrany za dzika i naśladujący jego zachowanie się na stepie, podchodził poprzednich nocy nieszczęśliwe straże, które, tak samo jak początkowo Tribord, nie chciały dla jednego dzika, których pełno było w Kanadzie i po stepie błąkały się ciągle, alarmować obozu i na śmiech się wystawiać.

Tymczasem Huron, podemknąwszy się blisko do czaty, gdy biedny żołnierz znużony patrzeniem w jedno miejsce, na chwilę odwrócił od mniemanego dzika oczy, rzucił się na niego nagle, a tak szybko i gwałtownie, że nim żołnierz zdążył pomyśleć o obronie, lub alarmie, już nie żył; Indyanin bowiem wymierzył mu okropny cios w głowę tomahawkiem.

Niebezpieczna broń leżała przy Huronie, a czupryny trzech Francuzów, zabitych poprzednich nocy, wisiały przytroczone u jego pasa.

Radosne uniesienie zapanowało pomiędzy żołnierzami; pochwyciwszy dzielnego Gaskończyka na ręce i krzycząc:

— Niech żyje Tribord! Niech żyje najmężniejszy z żołnierzy! — ponieśli go do obozu, pozostawiwszy na straży innego żołnierza, nie bojącego się już teraz djabła.

Z tryumfem przynieśli ucieszeni koledzy odważnego młodzieńca przed namiot generała, który wysłuchawszy ciekawie nocnej przygody Triborda, rad wielce, iż owo groźne niebezpieczeństwo zostało usunięte i spokój wróci armii, pozwolił młodemu zuchowi wyprawić ucztę.

Całą noc bawiono się ochoczo, pijąc zdrowie walecznego kolegi, dobrego generała, starego Bellegarde'a i innych. Nadewszystko przecież wiwatowano na cześć Triborda, który odwagą swoją i roztropnością, ze straconej czaty, uczynił straż zupełnie bezpieczną.

Bellegarde szczególniej rozczulał się nad bohaterstwem wesołego Gaskończyka; raz wraz brał go w ramiona i dziękował mu ze wzruszeniem, wysławiając jego przymioty, takie które miał i jakich nie miał. Następnie zaś prawił o złych duchach, napadających mężnych wojowników, o przyczajonych po wąwozach djabłach, czychających, kiedyby najdogodniej dzielnemu żołnierzowi łeb urwać.

Lecz rozbawiona młodzież nie dowierzała mu teraz, objawiając głośno swoje powątpiewanie. Aż naraz jeden z młodych ochotników wyrwał się z zapytaniem.

— Mości kolego Bellegardzie! A nie były też to czasem, te wszystkie waścine złe duchy i djabły, dzikiemi świniami?

— Szalony śmiech porwał całe towarzystwo, a stary wojak tak sobie wziął do serca ten wybuch wesołości, szczególniej zaś niewczesne pytanie niesfornego młodzika, że oburzony, porzucił płochą kompanią wietrzników, jak z pogardą nazwał śmiejących się żołnierzy, i udał się na spoczynek. Co prawda, to ten wielce mu już był potrzebny, gdyż wdzięczny stary rycerz, bardzo gorliwie spełniał dotąd wszystkie zdrowia, a sam ciągle wznosił kielichy na cześć najzacniejszego z kolegów, Triborda.

Nazajutrz wystąpiła cała załoga, będąca w obozie, a generał Montcalm przed frontem dał pochwałę szlachetnemu i odważnemu Gaskończykowi, i wręczył mu w nagrodę, bogatą, honorową szpadę.



* **W szkole.** Nauczyciel: Powiedz mi, gdzie leży Kuba?

Uczeń: W stodole, proszę pana profesora.

Nauczyciel: Siadaj ośle. Franek, powiedz mi, gdzie jest Jamajka.

Uczeń: Jak byłem w domu, mama chowała ją razem z flaszką do szafy.

* **Scena małżeńska.** — Ej Wojtek, ciągiem latas do tego karcmiska! ino buty po próznicy drzes, jakbyś ich znalazł.

— Ale ty, to ino tyrkoces, jakbyś gębę na loteryi wygrała.

* **Nasi kawalerowie.** — Masz już lat czterdzieści, pora do żeniaczki.

— Ani myślę.

— Zestarzejesz się, zachorujesz i nikt cię nie będzie doglądał.

— Jakto nikt? A wierzyciele?...

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

Światło

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 12-go Sierpnia 1897. **Nr. 32.**

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste **t** (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Ślązku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Somo-Sierra.

(Wspomnienia historyczne.)

Pomyślność musi mieć w sobie coś upajającego: bo wszyscy wielcy wojownicy grzeszyli brakiem wstrzemięźliwości i nie kładli końca zaborczym celom swoim. I Napoleon popadł w ten błąd: Europę całą uważał on za dziedzinę swoją, to też obsadzał opróżnione trony plemiennikami swymi. Holandya, Westfalia, Neapol miały królów z rodu jego, jeden jeszcze pozostał do wyposażenia i dla tego zapragnął Hiszpanii.

I szły ogromne zastępy francuskie, a obok nich i pułki polskie wywalczać koronę dla króla Józefa.

W tej wojnie, jak w każdej, gdzie losami bitew kierował potężny geniusz Napoleona, szczęście szło w ślady za orłami jego. Nie pomogła ani odwaga wojska, ani opór zfanatyzowanej ludności w powstańcze kupy zebranej; kroczyła w głąb kraju zwycięzka armia, już tylko wyżyny Somo-Sierra dzieliły ją od Madrytu; ależ tam niespodziany opór znaleźli Francuzi. Stromo pnący się wąwóz poprzecinany przekopami, na których piętrzyły się działa, to była jedyna droga do stolicy Hiszpanii wiodąca. Napoleon, co nie zwykł był cofać się przed żadną zawadą, co mało cenił życie ludzkie, pierwszym pułkom, które miał pod ręką, kazał uderzyć na ten działami najeżony wąwóz. Śmiałe było natarcie, ależ nie mniej trwała obrona: bo w krótkim czasie cofać się począł zdziesiątkowany oddział francuzki; drugi co go zastąpił, tenże sam los spotkał; trzeci nie był szczęśliwszy od dwóch pierwszych... wtedy zamyślił się cesarz, a potem patrząc chwilę na pułk ułanów polskich, szwoleżerami zwany, i wskazując ręką na wąwóz, »naprzód« zawołał. Bez namysłu ruszył dzielny ten zastęp: naczelny szwadron prowadził Kozietulski, drugi Henryk Kamieński, trzeci Pac, czwarty Tomasz Łubieński; wązka droga wąwozu nie dozwoliła rozwinąć frontu, czworkami też postępował pułk cały. Straszny a zarazem świetny to był widok tego boju: na piętrzących się bateryach błyszczały działa, koło nich uwijali się żołnierze w jaskrawych mundurach, powstańcy w fantastycznych ubiorach, w wysokich kapeluszach z piórami, między nimi mnichy rozmaitych zakonów, uzbrojeni w pałasze i sztylety, zachęcali walczących i słowem i czynem. Na każdej bateryi był krzyż zatknięty, a rozwiane różnobarwne chorągwie kościelne malowidłami ozdobione, przedstawiały widok jakiegoś religijno-wojskowego obchodu.

Naraz zagrzmiały działa i dym niezmierny zakrył przed oczyma patrzących ten świetny przed chwilą obraz. Ależ nacierający dochodzą wąwozu, dowódzcy wznieśli szable w górę, ogromny okrzyk: »Vive l' Empereur!« (niech żyje cesarz) odbiły skaliste góry, a potem pochyleni jeźdźcy na rozbieganych koniach jak uragan pędzili wąwozem. Coraz wyżej i wyżej wznoszą się rumaki, coraz wyżej jak skrzydła jaskółcze powiewają chorągiewki, coraz wyżej bujają białe kity przy czerwonych czapkach i nikną pomału w pośród kłębów dymu... coraz bardziej w oddali okrzyki natarcia, coraz słabszy jęk skonu, albo rżenie koni, nareszcie silniej jak poprzednio rozległ się był okrzyk i potem cisza zastąpiła gwar bitwy.

Całe wojsko z obawą patrzało na ten czyn niesłychany, nie wiedzieli czy zwyciężył, czy zginął ten odważny zastęp... a tu z wąwozu, jak z paszczy krateru dym wolno podnosił się w górę, a kiedy usunął się ostatni rąbek tej gęstej zasłony, jakiż widok uderzył oczy patrzących!... Na samym szczycie, na białym rumaku stał dzielny Kozietulski;

nad głową jego wiatr rozwiewa chorągiew pułkową, na niej jak gwiazda świecił biały orzeł na czerwonem polu, poniżej, jak piedestał do tego posągu, jeżył się las proporców i jeźdzców i koni. Na dolinie zabrzmiały i kotły i trąby, okrzyk wojenny powitał zwycięzców; na górze dwa razy schyliła się chorągiew na cześć dla cesarza, potem wolno niknęli i jeźdzcy i konie: bo dzielny zastęp szedł w pogoń za nieprzyjacielem.

Po zdobyciu wąwozu bez oporu szła armia prosto do Madrytu, i na równinach koło Eskurialu zaległa obozem; ależ nie było z niemi zwycięzców Somo-Sierra, zagnali się oni w pogoń za nieprzyjacielem i wieści o nich nie było.

Dopiero drugiego czy trzeciego dnia kiedy zwycięzki żołnierz wypoczął po znoju, kiedy śmiechy i śpiewy ożywiły obóz, ujrzano z góry wysuwający się oddział jezdnych, a białe z czerwonem chorągiewki migotały w powietrzu. »To Polacy wracają!« rozległ się okrzyk w środku obozu, i zaraz żołnierze bez komendy broń z kozłów rozbierali i stawali w szeregach. Zdziwiony tym ruchem cesarz, spytał o przyczynę, a kiedy mu ją opowiedziano i on wyszedł z namiotu i otoczony świetnym orszakiem tych illustracyi, co w stu bitwach nawykły zwalczać Europę, stał i z zadowoleniem patrzał na zbliżających się szwoleżerów.

Pierwszy korpus, co stał na skrzydle, do którego dochodzili Polacy, był marszałka Serruieux; za zbliżeniem się ich wszystkie kaszkiety na bagnetach podniósły się w górę i okrzyk: »Salut aux braves!« (pozdrowienie walecznym) rozległ się w powietrzu. I jeden batalion po drugim w tych kilku energicznych słowach witali zwycięzców Somo-Sierra, aż póki nie stanęli przed cesarzem. Umiał on znaleść te serdeczne słowa, któremi podbijał umysły i serca, tym razem nie szczędził ich dla polskich dzielnych ułanów; uściskał serdecznie dowódzcę Wincentego Krasińskiego, dla każdego szefa szwadronu znalazł słowo pochwalne, szczególnie odznaczył Kozietulskiego; wypytywał o najdrobniejsze szczegóły, a że w samym początku ataku dojrzał był jakiegoś oficera, co z niesłychaną odwagą pierwszy wskoczył na bateryą, pytał też o niego i kazał go sobie przedstawić. Po chwili Krasiński przyprowadził młodego oficera, dziecko prawie, nazwiskiem Wilczek; a kiedy w kilku wyrazach skreślił jego czyn odważny, cesarz zdjął z piersi krzyż legii honorowej i przypiął go młodzieńcowi: ależ widno było z twarzy Napoleona, że tę nagrodę za niedostateczną uważał.

»Wiele masz lat?« zapytał z uśmiechem. — »Dziewiętnaście« odrzekł zapytany; a na tę odpowiedź ruszył ramionami cesarz, i obracając się do orszaku obecnego tej scenie: »Panowie!« zawołał głośno, »jak dojdzie do lat moich, czym on będzie?...« Zdziwienie obecnych, a radość młodzieńca były nie do opisania: bo porównywując go z sobą, wyrządził mu cesarz zaszczyt wyższy nad wszystkie oznaki honorowe; zrozumieli to i koledzy jego i pułk cały, to też przeciągły okrzyk: »Vive l'Empereur! (niech żyje cesarz) wydali dzielni towarzysze Wilczka.

Czorsztyn.

Niby orle gniazdo, uczepione na stromej skale sterczącej nad Dunajcem, w ziemi Sądeckiej, opromienionej cudownemi podaniami i zabytkami z świętobliwego żywota królowej Kingi, wznosi się zamek Czorsztyn, dziś ruiny, ongi jedna z najstarszych i najsilniejszych pogranicznych twierdz polskich. Początek jego budowy ginie w pomroce czasów; Kazimierz Wielki zamek wzmocnił i rozszerzył o tyle, o ile wązka jego posada na szczycie skały na to pozwala; wejścia do zamku z dołu nie było żadnego, dostawano się doń po drabinach; a był też i kołowrot, zapomocą którego ludzi zacniejszych windowano w górę. Takie położenie, przed wynalezieniem mianowicie prochu, a i później nawet przez czas długi, czyniło zamek niezmiernie warownym.

Najprzód w roku 1401 a potem w 1434 są ślady, że Czorsztyn popadał w moc opryszków, którzy zeń na podróżnych napadali, daleko niekiedy za grabieżą zapędzając się na Węgry. Atoli już w roku 1440 Władysław, zwany później Warneńczykiem, tu żegna matkę swoję Zofią i brata Kazimierza, udając się na objęcie korony węgierskiej.

W roku 1651 w ziemi Sądeckiej objawia się pierwszy ruch społeczny wśród chłopów tamtejszych, których Chmielnicki podżega przeciw panom, tak jak w trzy wieki później podżegł ich Metternich. Na czele tego ruchu staje Aleksander Napierski, zwący się Kostką z Sztemberga, i ubiega Czorsztyn. Atoli nadworne chorągwie Gembickiego biskupa krakowskiego oblegają zamek, po którego zdobyciu Napierski daje gardło w Krakowie.

Jak dalece ten ruch był chwilowym, sztucznie jedynie wywołanym, najlepszy dowód w tem, że już w cztery lata później, w roku 1655, ten sam lud podgórski, pod wodzą Jerzego Lubomirskiego i Jana Wielopolskiego, mimo że Szwedzi również zachęcali go do rzezi szlachty, jeden z pierwszych w Polsce chwycił za broń przeciw najeźdzcy, a ubiwszy kijami osławionego szwedzkiego Czecha Wrzeszczowica, połączył się z Czarnieckim.

Lustracya z r. 1765 znajduje Czorsztyn wprawdzie opustoszałym ale zawsze jeszcze znacznym, i ubolewa nad opuszczeniem, w jakiem znajduje się tak kosztowny pograniczny i obronny zamek.

Ruiny zamku są dzisiaj jeszcze imponujące; wśród narożnych kwadratowych wież, »stróżami« niegdyś zwanych, mieści się korpus zamku mieszkalny; w środku dziedziniec i coś nakształt tarasu: może ogródek zamkowy, świadczący o pełnej galanteryi i grzeczności przodków naszych dla płci pięknej, umiejącej dla jej przyjemności znaleźć kącik osobny, nawet tam gdzie o kawałek miejsca tak trudno. A ślady takich ogródków znajdujemy i po innych zamkach sądeckich, mianowicie w uświęconym pobytem Kingi zamku Pieninach, w którym jeszcze trudniej o miejsce na zbytek podobny.

Przestrzeni było niewiele, ale z wież i okien zamkowych wzrok zato mógł sięgać daleko na wszystkie strony i poić się wspaniałym widokiem. Malownicze urwiska skalne, zielonym porosłe lasem, dokoła w najrozmaitszych wysterczają postaciach; na prawo Ligarki, w w lewo Czerwona Skała i Sokolica tuż na prost wyższe Pieniny; dołem w głębi szumi zielonawy Dunajec i białemi piany opryskuje skał podnóże, poza nim wieńcem roztaczają się Golice i Haligowskie wzgórza; w dali majaczeje ciemne pasmo Krępaku, a narożny historyczny Rohacz strzeże miedzy polskiej ponad Piwniczną-szyją nad Popradem.

O sałacie.

Nie ma podobno potrawy na świecie, któraby tak była rozpowszechnioną, jak sałata, a znów nie ma potrawy, do której mniejby dokładano starania w przyrządzaniu jak do sałaty i przez to jest ona, podług opinii francuskiego pisarza Rameau, niczem więcej, tylko okwaszonem zielskiem, które się je tylko dla zwyczaju. A jednak jak zupełnie inaczej smakuje sałata przyrządzona starannie! Francuzi posiadają szczególniejszy do tego dar i uważając ją za koronę biesiady, spożywają samą, bez żadnych dodatków, kiedy przeciwnie, w wszystkich innych krajach podają ją jako dodatek do pieczystego. O własnościach sałaty rozmaite są podania, jedne brzmią w ten sposób, że orły mają dlatego wzrok tak bystry, iż co czas jakiś żywią się sałatą; inni utrzymują znów, że sałata przysparza pokarmu kobietom karmiącym dzieci, a znów ostudza ogień miłości. Angielscy chemicy odkryli, że w sałacie znajduje się narkotycznie działający pierwiastek, który się zowie Lactucin i sprawia taki sam podniecający skutek, jak tytuń, konopie i t. p. Są też i zabawne przypowieści o przyrządzaniu sałaty; utrzymują, że na jej przyprawienie składają się cztery osoby: skąpy daje ocet, rozrzutny oliwę, mądry sól i cukier a waryat to wszystko razem mięsza. Podają znów anegdotę o pewnym francuzkim kucharzu Aubiniacu, który pozbawiony środków utrzymania uciekł do Anglii i tam przyrządzaniem sałaty na rozmaite sposoby dorobił się takich bogactw, że po dziesięciu latach, gdy umarł, pozostawił milionowy majątek. W modzie wówczas było na najbogatszych stołach podawać sałatę na sposób Aubiniaca.

Do przyprawy sałaty lepiej brać ocet mocny a w mniejszej ilości, szczególnie biorąc go do sałaty ze śmietaną, do oliwy zaś musi być odpowiednio wodą rozcieńczony. Oliwa w sałacie dobiera się z najlepszego gatunku, prowancka otrzymuje przed innemi pierwszeństwo; sól powinna być biała i jak najlepiej utłuczona, bo nieprzyjemną jest rzeczą, gdy jej mały kryształek dostanie się między zęby.

Sałatę podzieloną na cząstki, płucze się starannie w wodzie i nie wyciska (jak to często robią nasze gospodynie) tylko składa w sito, aby dobrze obsiąkła z wody, potrząsana dobrze co czas jakiś. W sałacie głowiastej należy i głobiki na części poprzekrawać, gdyż płyn aromatyczny, znajdujący się w nich, po pokrajaniu udziela sałacie dobrego smaku. Francuzi sałatę podają na stół w oddzielnych wyłącznie do sałaty przeznaczonych naczyniach, podają ją bez żadnej przyprawy, a dopiero każdy z konsumentów przyrządza ją podług swego gustu.

Dobrą na sposób francuzki sałatę z oliwą można przygotować w ten sposób: wyjęte żółtka z kilku jaj na twardo

ugotowanych, utrzeć na salaterce z dużą ilością oliwy, trochą musztardy, niewielką ilością octu i cukru podług upodobania. Zaprawy tej musi być odpowiednia doza do ilości sałaty. Gdy wszystko to zamieni się w jedną gęstawą masę, dodać do niej sałatę, posolić, mięszać dobrze po kilka razy w różne strony tak, aby każdy listek był w tym sosie zanurzony i aby owego sosu na dnie salaterki nie zostało, a wszystko na liściach sałaty osiadło. Francuzi, którzy tyle cebuli i czosnku używają, umieszczają jeszcze na dnie salaterki obkrojoną z chleba skórkę, potartą lekko czosnkiem, a na niej dopiero zaprawioną sałatę, która tym sposobem przechodzi zapachem czosnku i daje smak dobry.

Praktyczne rady.

— **Japoński sposób przechowywania mięsa.** Mięso przeznaczone do przechowania w stanie świeżym przez czas dłuższy, włożyć do glinianego, lub fajansowego naczynia i zalać wrzącą wodą; materye białkowate w skutek gorąca ulegną skrzepnieniu i jako nierozpuszczalne stanowić będą powłokę niedopuszczającą wyługowania przez wodę rozpuszczalnych materyi, znajdujących się w mięsie. Aby zaś wodę, którą mięso jest pokryte ochronić od wpływu powietrza, na wierzch nalać oleju; naczynie przykryć i postawić w w chłodnem miejscu, n. p. w piwnicy, albo co jeszcze lepiej, w lodowni.

Rozmaitości.

* **Konkurs godzien naśladowania.** Pewne Towarzystwo rolnicze we Francyi ogłosiło konkurs na różne nagrody pieniężne i medale złote i srebrne dla dziewcząt w wieku co najmniej 14 lat, uczęszczających do szkół publicznych, które poddadzą się egzaminowi teoretycznemu i praktycznemu z zakresu gospodarstwa domowego, który jest obowiązkowym przedmiotem nauki w szkołach francuskich.

Egzamin obejmuje pytania z zasad utrzymywania porządku w domu i hygieny domowej, utrzymywania odzieży i bielizny, konserwowania zapasów kuchennych i gospodarskich w spiżarni i piwnicy, sporządzania potraw zdrowych, smacznych i ekonomicznych, pielęgnowania zwierząt domowych, hodowania jarzyn i warzyw i ich zużytkowywania w domu, wreszcie hodowania kwiatów. — Rzecz godna zaiste naśladowania.

* **Drzewo elektryczne,** odkryte niedawno w dziewiczych lasach Indyi, jest najświeższą nowością w dziedzinie przyrodoznawstwa. Roślina ta, nazwana »Philotacea electrica«, posiada właściwość, iż przy każdej próbie oderwania od niej liścia, ręka odczuwa silne uderzenie elektryczne. Nawet w odległości przeszło 20 metrów od zagadkowego drzewa, igła magnesowa zbacza od swego kierunku. Natężenie siły elektrycznej drzewa, zmienia się kilkakrotnie w ciągu dnia, największą bywa w południe, zaś nocą lub w czasie deszczów zdaje się niknąć zupełnie i igła magnesowa, nawet w małej odległości, żadnych zboczeń nie okazuje. Żaden ptak, ani owad nie siada na gałęziach »Philotacea electrica.« Czują one widocznie instynktownie siłę ukrytą w drzewie. Specyaliści w dziedzinie fizyologii roślin wyrażają domysły, że siła elektryczna wytwarza się w tem drzewie z nieznanego dotąd nauce procesu fizyologicznego.

* **Japończycy i Chińczycy.** Stary i doświadczony pewien Anglik, który przez długie lata przebywał pomiędzy Japończykami i Chińczykami, charakteryzuje te dwa narody w następujący sposób: Japończyk odznacza się niezwykłą grzecznością i uprzejmością. Na pozór zgadza się on bez najmniejszego wahania na zrobioną mu ofertę. Natomiast ubicie jakiegokolwiek interesu z Chińczykiem, połączone jest z niemałemi trudnościami. Stara się on za pomocą najgenialniejszych pomysłów, najryzykowniejszych twierdzeń i kłamstw najbezczelniejszych, wytargować najkorzystniejsze dla siebie warunki. Zanim Chińczyk zawrze z kimkolwiek umowę, zdolny on jest do wszystkiego, coby mu zapewnić mogło jakąkolwiek korzyść. Skoro jednak po nieskończenie długich pertraktacyach zawarliśmy z nim umowę, to liczyć możemy z wszelką pewnością na to, że dotrzyma on też sumiennie wszelkie warunki tej umowy. Japończyk zaś pomimo całej swej pozornej uprzejmości, wykracza w największej liczbie wypadków przeciw warunkom umowy w najbezczelniejszy sposób, jeśli, co również dość często się zdarza, nie zrywa w ogóle umowy.

* **Szkło z porami,** jak w ciele ludzkiem, oto najnowszy wynalazek — którego obecnie używają w Paryżu do okien w pomieszkaniach. Szkło takie oprócz przysługi jakie nam wyświadcza szkło zwyczajne, przez okno oszklone szybami takiemi wpuszcza do pokoju przez swe delikatne dziureczki czyli pory — świeże powietrze tak bardzo potrzebne osobom słabowitym lub chorym do oddychania, — bez narażenia się na zawianie lub zaziębienie przy oknach otwartych. Szkło takie utrzymuje w pokojach bezustanną wentylacyą — a tem samem przyczynia się niepomiernie do utrzymania przy zdrowiu organizmu człowieka zmuszonego czas dłuższy do przesiadywania w zamkniętych pokojach.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.